



## Wspomnienia sanitariuszki szpitala polowego 27 Dywizji Wołyńskiej Piechoty Armii Krajowej

*„Kicia”*

### **Nie ma już Polski !!!**

«  
Te słowa wypowiedziane z rozpaczą przez Ojca 17-tego września wprowadziły wszystkich w osłupienie. A kiedy 19-tego września 1939 r. Zobaczyłam armię radziecką, te brudne, obszarpane w parcianych butach wrogie wojsko wkraczające do Kowla, nie mogłam uwierzyć by moją Ojczyznę taką ukochaną, bohaterską, niezwyciężoną (tak wtedy myślałam) podzielili się dranie jak kawałkiem tortu.

Ten cios w plecy odczuli wszyscy Polacy, najbardziej jednak ludzie mieszkający wzdłuż wschodniej granicy Polski.

Ale życie toczyło się dalej. Doroślałam ja i cała młodzież. Do domów zaglądała bieda. Nieraz całymi nocami staliśmy w kolejce na zmianę z rodziną by dostać trochę cukru, chleba, kaszy. Bardzo ciężko było żyć przez 2 lata pod okupacją radziecką.

W 1941 roku nowa wojna na terenie Wołynia i dostajemy się pod okupację niemiecką. Ale my młodzież już jesteśmy mądrzejsi. Zaczynamy gdzieś pracować, to w przędzalni to w jaj czarni to w młynie. Kontakty coraz bliższe, szczególnie między młodzieżą harcerską. Narasta chęć odwetu.

Czujemy, że coś w podziemiu wrze. Dochodzą wieści z Warszawy, czasami uda się posłuchać Londynu. Rośnie nadzieja. Ja dostałam pracę jako uczeń krawiecki w dużych zakładach rzemieślniczych, gdzie również były magazyny rzeczy zrabowanych przez Niemców. Pracowało tam dużo Polaków, Ukraińców i Niemców, oczywiście na rzecz tych ostatnich. Tu krążyły różne wieści i niektóre informacje przydały się jak przypuszczałam w konspiracji. Kiedyś dostałam polecenie, raczej prośbę aby skombinować czapki męskie potem, że potrzebne są różne rodzaje części sprzętu medycznego do którego miałam dostęp, bo pracował tam kolega. I w taki to sposób znalazłam się w konspiracji.

Złożyłam przysięgę wiosną 1943 roku. Byłam na kilku spotkaniach konspiracyjnych dziewcząt gdzie przygotowano nas do obowiązków sanitarnych.

W tym okresie zaczęły się masowe rzezie ludności polskiej przez Ukraińców, przeważnie zamieszkałej na wsi.

Przez Kowel jako dużą stację kolejową przewalają się wojska niemieckie uciekające w popłochu. Wszędzie zamęt. Mój zakład pracy zostaje zamieniony na szpital a wszyscy pracownicy zwolnieni.

Wreszcie w połowie stycznia 1944 r. pada rozkaz o koncentracji oddziałów partyzanckich. Mnie nie obowiązywał ten rozkaz. Ale ja i jeszcze dwie koleżanki, Maria Ilczuk „Maczek” i Regina Borys „Rena” meldujemy się na placówce we wsi Zasmyki,

leżącej 15 km od Kowla , głównej bazy samoobrony i punktem kontaktowym dla przybywających oddziałów na skutek koncentracji u por. „Znicza” H. Nadratowski. Przybierani pseudonim „Kicia” i tego samego dnia pełnię pierwszy dyżur w szpitalu w mieszczącym się w szkole zasmyckiej .

I od dnia 16 stycznia 1944 roku jestem sanitariuszką 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

Tu muszę się szczerze przyznać , że nie miałam specjalnego przeszkolenia sanitarnego , tylko podstawowe wiadomości udzielania pierwszej pomocy zdobyte w harcerstwie na szkolnych kursach PCK i kilku spotkaniach konspiracyjnych . Nie ujawniałam swojej niewiedzy , tylko pilnie podglądałam co i jak się robi i po kilku dniach dawałam sobie radę. Najtrudniej mi było przełamać samą siebie. Trudno również było przełamać niechęć do wykonywania tych najbardziej przykrych czynności przy chorych.

Zdarzyło się nawet , że asystując dr. „Osiemnastce” ( W. Zagórski ) przy zabiegu wyjmowania małych odłamków kości z rozbitej czaszki , na widok drgającego mózgu zemdlałam . Z czasem ta wrażliwość przeszła . I może to zabrzmiało jak oklepany frazes , ale ta myśl , że właśnie w ten sposób mogę pomóc ukochanej Ojczyźnie , dodawała siły , uczyła pokory i łagodności butną , zadziorną dziewczynę , jaką byłam . Pomagało mi w tym wrodzone pogodne usposobienie.

Pierwsze uczucie strachu przeżyłam 19 stycznia 1944 roku , kiedy Niemcy zniemacka podeszli do Zasmyk i podpalili wieś . Trzeba było w pośpiechu wynosić chorych ze szpitala na dwór przy styczniowym mrozie i z braku transportu lokować na przejeżdżające furmanki już załadowane dobytkiem i rodzinami uciekającymi ze wsi do lasu.

Szkoła w Zasmykach nie spłonęła , tak więc punkt sanitarny został uratowany . Po kilkudniowym pobycie we wsi Kupiczów , gdzie mieścił się nasz główny szpital partyzancki , po kilku wykładach doszkalających , wróciłam do Zasmyk . Nie wszyscy chorzy wrócili do szpitala . Zaczęłam chodzić po domach zmieniać opatrunki , stawiać bańki , pomagać walczącym ze świerzbem . A szpital powoli się zapełniał.

W tym zimowym okresie nasze oddziały wzięły do niewoli grupę Niemców - w tym siedmiu rannych. Położono ich w zasmyckim szpitalu i opatrzone . Najbardziej pamiętam starego mężczyznę w beznadziejnym stanie ( gangrena) , któremu zmieniałam opatrunek a on z wdzięcznością głaskał mnie po rękach mówiąc , że ma taką córkę jak ja i że wojna jest niedobra.

W marcu pod dowództwem dr. „Sępa” z Zasmyk wyrusza tabor sanitarny w wyprawie na Turzysk . Ukryci w gąszczach leśnych czekamy na rozwój wypadków i wtedy rozrywa się pocisk i doznaję kontuzji głowy . Zabierają mnie do Kupiczowa . Dr. „Osiemnastka” otoczył mnie troskliwą opieką, ale po trzech dniach wracam do Zasmyk , do swoich chorych. Kiedy zapadła decyzja , że oddziały partyzanckie z powodu przybliżenia się frontu przesuną się na zachód , szpital i tabory podążą za oddziałami . Ciężko ranni zostali w szpitalu w Kupiczowie , lżej z nadzieją na wyzdrowienie ulokowano na zwykłych wozach wyłożonych słomą i tak podążaliśmy za oddziałami. Jechaliśmy nocą, zatrzymując się na przygotowanych postojach.

Ciężki był przemarsz wołyńskimi drogami . Był to początek wiosny , deszcz , śnieg , zawierucha i błoto po kolana.

W okresie tym oddziały partyzanckie 27 Dywizji Wołyńskiej staczały coraz częstsze walki z Niemcami. Rannych przybywało . Tabor się powiększał . Na postojach były coraz gorsze warunki z zakwaterowaniem i wyżywieniem . Ranni leżeli wprost na podłodze na słomie przykrytej derką . Coraz trudniej było z lekami . Bandaże trzeba było prac i używać kilkakrotnie .

W takich coraz gorszych warunkach przybyliśmy do wsi Mosur .1 właśnie od tej chwili zaczęły się dla szpitala dni tragiczne. Każdy dzień to oddzielny rozdział w życiu szpitala . To co dzień nowi ranni, to smutne wieści o śmierci kolegów Kowelaków .

W Mosurze mieliśmy stać kilka dni i tam spędzić Święta Wielkanocne . Każda z nas starała się swoim rannym , rozlokowanych po chałupach wiejskich stworzyć warunki w tym dniu domowo-rodzinne. Tak się złożyło , że właśnie w tym okresie miałam pod opieką ciężko rannych a między nimi dowódcę z konspiracji por. „Kruka" (E. Imiałek ) , który po amputacji ręki był w bardzo ciężkim stanie . Przy nim była również jego żona Irena Imiałek „Bożena" , która na wieść o nieszczęściu męża przybyła z Kowla by się nim opiekować do Zasmek, potem do Kupiczowa gdzie amputowano mu rękę i dalej dzieliła z nim trudy partyzanckiego życia opiekując się również innymi rannymi.

W Wielki Piątek asystuję przy bardzo poważnej operacji - ( amputacji nogi aż do biodra ) dając narkozę . Dr. „Osiemnastka" w asyście siostry „Bożeny" i „Iris" zdaje sobie sprawę , że to sytuacja beznadziejna , ale jak się do nas wyraził „ wierny przysiędze lekarza ratować muszę , choć nie mamy już materiałów chirurgicznych (nici) a mógłbym uratować ze trzech rannych tym materiałem „ . Na drugi dzień ranna , operowana Żydówka zmarła . W sobotę razem z „Bożeną" zaczęłyśmy przygotowania świąteczne. Szorowanie rannych i sprzątanie chałupy. Potem upiekłyśmy skromne ciasto i umalowałyśmy jajka w cebulaku . Ranni posmutnieli. Przypomnieli im się dom . Pośpiewałam im na dobranoc .

W świąteczny ranek składamy sobie wszyscy życzenia . Sanitariuszki biegają po wszystkich izbach składając życzenia rannym i koleżankom , szczęśliwego powrotu do domu .1 właśnie w ten świąteczny nastrój wdarły się do szpitala odgłosy strzelaniny i to coraz bliższe .Dostałam rozkaz ubrać szybko rannych , którzy będą mogli się poruszać i wymaszerować do lasu. Na zabranie ciężko rannych nie było możliwości , nie było przygotowanych wozów i czasu na zorganizowanie ich. Niemcy byli już 3 km od nas . Powiało jakoś grozą, bo jak tu zostawić bezbronnych ciężko rannych nie mówiąc im o tym. Porucznikiem „Krukiem" zaopiekowała się żona . Ciężko chorego z wysoką temperaturą wyprowadziła do lasu . Na szczęście oddziały nasze odparły atak Niemców i wróciliśmy wszyscy z powrotem . Ale wieść musieliśmy opuścić , bo wszystkim stało się wiadome , że jesteśmy okrążeni i musimy uciekać dalej do lasu .

18 kwietnia 1944 roku dotarła do nas wiadomość o tragicznej śmierci naszego dowódcy 27 Wołyńskiej Dywizji AK płk „Oliwy" Wojciecha Kiwerskiego . To był cios dla wszystkich żołnierzy.

Chciałabym opowiedzieć o zdarzeniach , które mi najbardziej utkwily w pamięci. Tabor szpitalny przemykał się cicho leśnymi drogami aż tu nagle słychać narastający szum czołgów . A wszystko to wydawało się tak blisko .1 naraz strzały , potworny huk pocisków. W jednej chwili powstał okropny zamęt. Konie się popłoszyły , lżej ranni zeskakują z wozów i uciekają Ja miałam pod opieką kilka wozów z rannymi. Każdy z tych wozów ucieka w inną stronę. I naraz widzę przede mną wywraca się wóz do góry kołami . A ja ni wiem czy tam pod wozem nie ma rannych . Krótka walka wewnętrzna . Co robić ? W jednej chwili decyduję się . Zeskakuję z wozu i podbiegam do wywróconego wozu . Rannych tam nie było . Ale w tym czasie moje wozy odjechały daleko. Wskakuję na pierwszy wóz , który jest bez sanitariuszki i okazuje się , że byłam tam bardzo potrzebna . Jeden nieprzytomny z przebitym płucem i drugi znajomy kolega z Kowla , Kielbasiński z przestrzeloną szczęką , która wisi i mocno krwawi . Każdy wstrząs sprawia mu okropny ból . Ranny z przestrzelonym płucem kurczowo trzymał się i szarpał tego drugiego . Musiałam ich rozdzielić . Jednemu podwiązałam brodę , drugiego próbowałam uspokoić . Ale ten kilkunastoletni chłopak wciąż płakał , skarżył się na ból i tulił się jak do matki. Musiałam

więc udawać i pocieszać . Chory wyraźnie się uspokoił i przytulony ze słowami „ jakaś Ty mamu dobra „ ucichł. Dopiero po kilku chwilach spostrzegłam , że skonał . A wszystko to działo się przy akompaniamencie wystrzałów i potwornego huku pocisków na wozie ciągniętym przez rozszalałe konie .

Była to pierwsza śmierć , z którą zetknęłam się tak blisko. I choć nie znałam imienia , nazwiska ani pseudonimu tego chłopca , był mi jakoś dziwnie bliski . Pod osłoną nocy w głębokiej ciszy pochowaliśmy go w lesie wraz z innymi z myślą , że tu wrócimy i go znajdziemy.

Po wielu dniach tułaczki zapadła w tej sytuacji decyzja . Oddziały partyzanckie przedzierają się przez front, a szpital ukryty głęboko w lesie otoczonym bagnami musi jakoś przetrwać i doczekać się przyjścia Armii Czerwonej.

Zwykły wiejski wóz był dla rannych łóżkiem szpitalnym w dzień i w nocy , a dachem niebo nad głową. Całe szczęście , że była już wiosna , ale w dni deszczowe i chłodne noce było ciężko . A było nas już bardzo dużo - około 200 tyś. osób , bo rannych wciąż przybywało .

Do naszego szpitala dołączył szpital „ Osnowy „ ze zgrupowania włodzimierskiego. Zaczęliśmy obawiać się głodu . Nie mieliśmy chleba , zupki były coraz cieńsze i coraz trudniej było ze środkami opatrunkowymi. Bandaże trzeba było prać kilkakrotnie . A do tego zmorą naszą stały się wszy .Nie było na nich rady .

Odchodzące oddziały zostawiły nam wszystko co mogło się przydać , a przede wszystkim żywność . Spowodowało to częściową poprawę sytuacji. Wstąpiła w nas otucha , że chyba przetrwamy i doczekamy się wyzwolenia w tym lesie . Ale niestety.

Pewnego słonecznego ranka wraz z rannymi , pełna optymizmu szykuję śniadanie z dodatkowych przydziałów aż tu nagle strzelanina z przeciwległej strony polany , narastający szum , krzyki i naraz wszyscy uciekają wołając : uciekajcie -Niemcy !!

Niesamowity popłoch , ranni wyskakują z wozów bez butów , nieubrani . Strzelanina wzrasta , konie przywiązane do drzew bezsilnie się szarpia . Przez las przebiega krzyk strachu . Wszystko co może się ruszać ucieka w popłochu . Mój kolega Kazik Bombol ranny w obie nogi zapomniał o bólu kulejąc i potykając się nieubrany ucieka jak nieprzytomny . Zdążyłam tylko złapać torbę sanitarną i uciekałam z rannymi do lasu. Jak się potem okazało na szpital natknął się przypadkowy patrol węgierski.

Wielu rannych uciekło , ale część szpitala dostała się do niewoli. Ja z niewielką grupą znalazłam się w lesie bez żadnych środków do życia . W torbie sanitarnej miałam trochę lekarstw , bandaży ale żywności nie mieliśmy wcale . Zaczęliśmy szukać dawnych miejsc postoju naszych oddziałów , które odeszły . Znaleźliśmy trochę kartofli i kaszy. Raz dziennie gotowałam wiadro gorącego krupniku .

Nikt z naszej grupy nie orientował się gdzie jesteśmy , co dzieje się z reszta szpitala i co mamy dalej robić.

Po wielu dniach głodu i błędzenia po lesie spotkaliśmy gajowego , który zgodził się taką małą grupę wyprowadzić z lasu do siedzib ludzkich .

Ustawiliśmy się gęsiego i w największej ciszy szliśmy za nim. Kiedy po pewnym czasie obejrzałam się do tyłu - zdębiałam. Za nami szedł długi szereg uzbrojonych partyzantów , którzy wychodzili z ukrycia dołączając do nas .

Gajowy wyprowadził nas na skraj lasu . Przed nami w dość dużej odległości była droga a za nią wieś .Mieliśmy iść brzegiem polany a skrajem lasu. Słońce już skryło się za drzewami , robiło się ciemno i naraz na drodze zauważyliśmy jakiś oddział - chyba patrol niemiecki . Zdawało się nam , że nas zauważyli. Wszyscy zaczęli uciekać w stronę lasu . Mnie jest coraz ciężiej , bo w torbie sanitarnej mam kartofle i kaszę i to mi utrudnia bieg . Chcąc sobie skrócić drogę , żeby dogonić chłopców biegnę przez polanę na skos ale było to

zdradliwe bagno . Im dalej do środka polany , tym głębiej się zapadam . Chłopców już nie widać . Boję się wołać o pomoc . Wreszcie wyszłam na twardey grunt mokra do pasa . Zostałam sama nie widząc gdzie jestem , nigdzie żadnego światła i ta świadomość , że w pobliżu są Niemcy. Ogarnia mnie rozpacz . Nie mogę się dostać w ręce wroga . Mój wygląd powiedziałby wszystko . Ubrana byłam w czerwony wiejski kożuszek i wojskowe spodnie . Nagle przypominam sobie , że mam w kieszeni broń tzw."siódemkę" , którą dał mi „Cygan” na przechowanie , kiedy poszedł na zwiad i nie wrócił . Nie bardzo wiem jak się z nią obchodzić , ale świadomość , że mogę w ostateczności zrobić z niej użytek dodaje mi odwagi.

Modłę się żarliwie przytulona do ziemi . Powoli się uspakajam , mówiąc sobie „raz kozie śmierć” . Nagle zauważyłam zbliżającą się jasną plamę , przyłgnęłam ze strachu do ziemi . Był to na szczęście mieszkaniec okolicznej wioski , który odwoził rannych do szpitala i prawie mnie nie zauważył. Całą noc mokra , zziębnięta błędziłam z nim szukając wyjścia , by nie trafić na niemieckie posterunki . Gdy wreszcie dotarliśmy do jego rodziny we wsi Turówka , byłam ledwie żywa i miałam wysoką gorączkę . Rodzina Bronisława Raka , bo tak nazywał się mój wybawca otoczyła mnie serdeczną opieką w czasie choroby. Tu wieczorami przychodzili ukrywający się żołnierze dywizji i od nich dowiedziałam się , że por."Jastrząb” organizuje w sąsiedniej wiosce „ Kolonia Strzelecka,, oddział z rozbitków i będzie próbować jeszcze raz przejść przez tory na północ. Ale przyszedł za późno -już odeszli.

W Koloni Strzeleckiej zostałam i tu nawiązałam łączność z naszymi żołnierzami . W wiatraku jednego z gospodarzy była baza partyzancka. Tu przychodzili wieczorami ukrywający się partyzanci . Gospodarz miał zboże na mąkę , piekł chleb i obdzielał wszystkich . Pomagałam mu gospodarzyć opiekując się jego trójką dzieci, któremu Ukraińcy zabili żonę z niemowlęciem na ręku , a równocześnie miałam kontakt z rannymi ukrywającymi się .Po pewnym czasie do wiatraka powróciło wielu partyzantów , którym jednak nie udało się przejść przez front a wraz z nimi przyszła też ranna koleżanka (sanitariuszka Maria Ilczuk „Maczek”) . Miałam ją pod opieką jak i wielu innych .

Do Koloni Strzeleckiej dotarła konspiracja Włodzimierska . Dostarczyli medykamentów , trochę żywności a najważniejsze soli, której brak bardzo odczuwano . Konspiracja zaczęła organizować transporty z miasta po zboże , ziemniaki do Włodzimierza i tymi transportami wywozić ukrywających się żołnierzy . Takim transportem wyjechałam i ja z poleceniem dotarcia do księdza Kobyleckiego we Włodzimierzu . W drodze powiadomiono nas , że Niemcy są zorientowani i szykują zasadzkę . Wszystkie wozy rozjechały się po gospodarzach i ukryły się. Ja zatrzymałam się we wsi Spaszczyna u p. Marii Matuszyńskiej , która знаła naszą sytuację . Pani Maria Matuszyńska wdowa - matka trojga dorosłych dzieci to bardzo dzielna kobieta . Patrole niemieckie kazały mi się codziennie meldować u sołtysa , on za mnie poręczył , że jestem kuzynką Matuszyńskiej i do miasta nie dotarłam . Później dołączył do mnie już podleczoney „Maczek” .

A Pani Marii ( znała język niemiecki) ratowała nas przed wywiezieniem do Niemiec, wyrobiła dokumenty , ukrywała przed Niemcami, otoczyła nas serdeczną opieką.

Zbliżał się front . Całą wioskę Spaszczynę ewakuowano za rzekę Bug. Trzeba było przejść most w Uściługu gdzie sprawdzano dokumenty . Pani Maria odważnie i śmiało zagadywała Niemców a ja ukryta za wozem obładowanym tobołami przy kole od wozu szczęśliwie przeszłam .Zatrzymaliśmy się u kuzyna p. Marii w Horodle .Tu dowiedziałam się o losach dywizyjnych oddziałów , o losach szpitala , o tragicznym przejściu naszych żołnierzy przez tory i najtragiczniejszym przez rzekę Prypec , gdzie zginęło tylu naszych dzielnych chłopców z „Osnowy”.

Pani Matuszyńska poprzez kontakty konspiracyjne starała się nam pomóc w dotarciu do dywizji .Zostawiła nas w majątku hr. Potockiego w Bończy pod opieką administratora gdzie

stacjonował mały oddział konspiracyjny jako ochrona majątku . Oni mieli nas doprowadzić do Dywizji, z którą mieli łączność . Po kilku dniach w nocy wkroczyli do majątku w Bończy żołnierze I Armii Wojska Polskiego , wszystkich rozbroili i kazali rozejść się do domów.

Tak przysłała do nas Wolność w 1944 roku...

Nie wiedziałam gdzie jest moja rodzina . Ostatnia wiadomość jaką dostałam jeszcze w Kupiczowie drogą konspiracyjną ,mówiła że zostali ewakuowani z Kowla na stronę radziecką.

Poradzono nam , żeby jechać na Chełm bo tam dużo kowelaków .

Sprzedalam w Bończy swój czerwony kozuszek za 7 litrów tego słynnego spirytusu (to był cały majątek) i już w pierwszym dniu pobytu w Chełmie *znalazłam* mamę i siostrę . Dowiedziałam się , że ojciec mój wstąpił do I Armii Wojska Polskiego a siostra Sabina została zmobilizowana i też była w Wojsku Polskim jako radiotelegrafistka . Doszło do spotkania rodzinnego w Chełmie .

Zrujnowani doszczętnie ale żywi byliśmy szczęśliwi.

Wreszcie koniec wojny . Demobilizacja .

Ojciec z siostrą po wyjściu z wojska zostali skierowani do pracy na Ziemi Zachodnie do Szczecinka i tam się osiedliła moja rodzina . A ja wyszłam za mąż w Chełmie . Jesienią 1946 roku przyjechalśmy z mężem do Olsztyna i tu rozpoczęłam nowe życie . Mąż ,dzieci ,rodzina , praca , praca społeczna to moje codzienne cele . A przy tym wielka tęsknota za Wołyniem i te wspomnienia , wspomnienia , wspomnienia ..... , które odbierają sen - a zarazem duma z dobrze spełnionego obowiązku wobec Ojczyzny na miarę swoich młodzińczych możliwości.

*Olsztyn 1978 r.*

***Kazimiera Błaszczak-Lewenda***  
***ps „Kicia”***

***P.s..***

Od 1946 roku mieszkam w Olsztynie . Tu mieszkają moje dzieci z rodzinami. Pokochałam to miasto i cały Region Warmińsko-Mazurski Tu jest teraz moja Ojczyzna.

***Olsztyn 1999 r.***